

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

MAYSTER BARTŁOMIEY,
CZYLI PIEKARZ I JEGO
RODZINA

Józef Kraszewski
Mayster Bartłomiej, czyli
Piekarz i jego rodzina

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842798

Mayster Bartłomiej, czyli Piekarz i jego rodzina:

Аннотация

Krótką nowelą Kraszewskiego, w której tytułowy bohater, Bartłomiej, podejmuje się wraz z Rupertem i Suchym, ze starca zrobić młodego człowieka. Żeby tego dokonać proszą o pomoc pana Gimmela – diabła. Ceną za jego pomoc jest dusza ludzka.

Содержание

I	5
II	14
Конец ознакомительного фрагмента.	19

Józef Ignacy Kraszewski **Mayster Bartłomiej, czyli** **Piekarz i jego rodzina**

Koledze
Eugeniuszowi
Sakowiczowi
K. F. Pasternak.

I

Roku 1620, o godzinie szóstej wieczorem, męszczyzna małego wzrostu pukał do drzwi domku położonego w Krakowie, blisko Florjańskiej bramy. Za każdym stuknięciem posyłał do mieszkańców domu przekleństwo jakie dobitne, głosem ochrzypłym wymówione, i za każdym stuknięciem i przekleństwem, z jednego okna domu, odzywał się głos mocny i gruby oddający stukającemu wszystkie jego wykrzykniki z przynależytym procentem. Na ulicy było ciemno, stukający czepiał się próżno klamki.

– Panie Bartłomieju! wołał dobijający się ochrzypłym i niewyraźnym głosem – puść mnie – do sto tysięcy szatanów, albo cię jutro Jezuici wyklną z duszą, ciałem, kośćmi, szpikiem, głową, nogami, z twojemi wszystkiemi bezbożnemi aparatami, z twoją synowicą, z twoim domem – no otwórz, do miliona pięćkroć sto tysięcy!!!

Gruby, tubalny głos odezwał się odpowiadając z okna:

– Hej! co mi za chwat! a komu to waszmość tak rozkazujesz?? Hej? – czyli – kto jest ten, komu dajesz rozkazy, albo – do kogo ten twój rozkaz się stosuje, gdyż wszystkie te sposoby mówienia na jedno wychodzą. Możesz się sobie Mosanie Rupercie trochę przechłodzić na ulicy – w twojej głowie i tak częstokroć nadto jest ognia, czyli inaczej mówiąc, twoja głowa nadto jest ognista – albo, obróciwszy to w inny sposób – ogień panuje w twojej

głowie, ochłódź się i idź do domu, bo ja cię niepuszczę – niech mnie piorun trzaśnie, że niepuszczę – czyli niech od piorunu będę ubity – jeśli cię puszczę, idź precz.

– Ej! Majstrze Bartłomieju – odezwał się z dołu Rupert. Puść, bo jutro pójdę do Jezuitów, do Króla i wydám ciębie, że jesteś czarownik, heretyk, arjanin, socynianin – psia głowa – będę prosić i wyproszę, że ci łeb utną, poćwiertują, że cię spalą na stosie, oskubią, oćwiczą i usmażą w gorącej smole.

– Brednie! odpowiedział tubalny głos Majstra Bartłomieja, brednie niegodne mojej uwagi, czyli niezasługujące brednie, aby na nich moja uwaga spoczęła – nic z twoich zamiarów nie będzie – Idź precz, bo ci drzwi nie otworzę, a jeśli chcesz zresztą, żebym ci drzwi moje otworzył, przysiąż mi, że zaprzestaniesz twoich figlów, że mi oddasz skradzioną szklaną banię.

– Puszczajże no tylko – puszczaj! wołał ciągle Rupert, oddam ci kulę twoją – przysięgam na moją głowę, i na twój bót dziurawy – i na okuty kuferek stojący w głowach twego łóżka.

– A! niegodziwy człowiecze – odezwał się z okna głos gruby. Ty śledzisz moich pieniędzy, ty mię chcesz okraść, chcesz mię zgubić – czyli – chcesz, abym został zgubiony, albo – żądasz mojej zguby – precz – precz – niepuszczę cię.

– No – no – uspokój się panie Majstrze, odpowiedział głos z dołu, poparty silném uderzeniem we drzwi – przysięgam ci na twój bót dziurawy i na czarne oczy twojej synowicy, że nie mam wcale nagabania do twojej szkatułki, ani do ciębie, ani do żadnej rzeczy, która twoją jest – puść mię tylko niech się ogrzeję.

W tej chwili gruby głos Majstra odezwał się parę razy w środku domu, słychać było obracający się klucz w zamku, drzwi się otworzyły i mała postać wcisnęła się do domu, pobiegła po wschodach, uczepiła się na klamce jednego pokoju i weszła. Izba do której weszła mała postać, nazwana Rupertem, była ciasna, lecz wysoka, ściany jej szare i okopcone wznosiły się pod sufit, w którym wyrobione było okno, rzucające na nią błądy promień światła. W kącie stała lampa oliwna na stoliku, a na ścianie zegar powolnym jękiem milczenie przerywał. Światło lampy odkryło twarze obudwu osób. Wchodzący Rupert, był małą półtora łokciową figurką. Garb wisiał mu na plecach, cieniuchne podpierały go nóżki, miał głowę ogromną nakszał wiadra, i długie ręce wiszące jak cepy. Na twarzy dawał się widzieć nos mały, garbaty i zadarty, oczy wpadłe, lecz palne, szczęki suche i kościste, usta zgięte w półokrąg ku dołowi. Żartobliwą tę twarzyczkę zdobiła czupryna złożona z niewielkiej ilości włosów jasnych i prawie białych. Zamiast ubioru tegoczesnego miał długą szafirową suknią obszywaną złotym galonem, na nogach pończochy, z których jedna była niebieska z białym i zielonym klinem, druga czerwona z żółtym i ponsowym, przytém ciężkie trzewiki z ołowianemi klamrami niezgrabnie wyrabianemi.

Pan Bartłomiej był człowiek bardzo otyły, tak iż się ledwie mógł poruszać, którego grubość, szerokość i długość były równe, co mu czworograną nadawało postać. Miał głowę wielką, twarz długą, głowę spiczastą, ręce krótkie, nogi grube i małe.

Oczy szare i zimne, twarz bladą jak papier; okrywała go kapota ponsowa, a na głowie miał aksamitną z złotym kutasem, wyszarzaną, tegoż koloru czapeczkę.

Dwaj ci Ichmość, spojrzeli po sobie, a mała poczwarka rozśmiała się szyderskim, prawdziwie piekielnym uśmiechem.

– No Majstrze Bartłomieju, zawołał mały, gdybym nie był twoim przyjacielem – dalibóg wyłajałbym cię porządnie za to, żeś mię tak długo trzymał podedrzwiami. Na ci twoją kulę, rzekł rzucając coś okrągłego na podłogę. Majster Bartłomiej chciał się nachylić, ale mu brzuch uczynić tego niedozwolił. Rupert podał mu kulę, a Majster cofnął się parę kroków. – To trupia głowa!! zawołał.

– Ha! ha! ha! pisnął szydersko Rupert, schowaj ją, schowaj – przerobisz ją na złoto – He? Jak się ma twoja synowica?

– Zdrowa, mój panie – odpowiedział Bartłomiej – zdrowa dzięki Bogu, czyli Bogu dzięki, iż ma dobre zdrowie, albo dziękować należy Najwyższemu, iż ją przy zdrowiu zachowuje.

– I, porzuć Wasze, te swoje baję – przerwał Rupert, mam ci coś ważniejszego powiedzieć – ja chciałbym się żenić z twoją synowicą.

Bartłomiej wytrzeszczył oczy i uszy nastawił – kto? – zawołał nareście – ty mała poczwaro?

– Ja! rzekł ze śmiechem mały – ja sam – chcę się żenić i kto wie, może się ożenię.

Spiew, który blisko drzwi dał się słyszeć, przerwał rozmowę, i w parę chwil weszła dziewczyna młoda ładna jak Madonna

Rafaela, z obłąkanym wzrokiem, ubrana w bieli, z rozrzuconymi włosami.

Weszła i stanęła wpatrując się w Ruperta, który się zgarbił, otworzył oczy, jakby ją niemi chciał połknąć, i pokazał z uśmiechającej się gęby, długi registr czarnych zębów.

– Dobry wieczór – rzekł chropawym głosem Rupert – widziałś się Panna zapewne dzisiaj z Tobijaszem.

– O! widziałam się odpowiedziała dziewczyna – mój Tobiasz codzień mię odwiedza.

– No! a czy wieszże Panna najświeższą nowinę? zapytała się poczwarka przybliżając.

– Jaką?

– Że ja się żenię.

– Do prawdy??

– Najpewniej, żenię się z Waćpanną.

– Któż to Waszmości powiedział – zapytała dziewczyna poważnie – proszę sobie tę nowinę wybić z głowy – pierwszy Turcy modlić się będą w kościele Panny Maryi, nim się to sprawdzi.

– Zobaczmy! rzekł Rupert ruszając ramionami, a dziewczyna wzięła z kąta ogromną leżącą tam księgę i wyszła.

– Majstrze Bartłomieju! zawołał Rupert – czy lubisz złoto?

– Złoto – odpowiedział zagadniony z miną, jaką ma Samarytanin w obrazie Rafaela Sgo Jana każącego na puszczy – złoto, jest kluczem do świątyni szczęścia, czyli kluczem do świątyni szczęścia, jest złoto, albo, złoto jest kluczem, który nam

drzwi do świątyni szczęścia otwiera – jakbym go miał nie lubić?
– Chciałżebyś go zarobić tyle, ile się nie pomieści w największy twój kufer, ile go nieboszczka Pani Bona nie miała?

Oczy Bartłomieja zajaśniały, jak dwie pochodnie.

– Siadaj Panie Rupercie, siadaj, zawołał, czyli bądź siedzącym, albo, niech ten stołek będzie tobie siedzeniem – mów, mów, gdzie jest to złoto??

– Złoto, odpowiedział powolnie Rupert wlepiając w niego jaskrawe oczy – złoto – jest u ciebie w szkatułkach!

Majster zniecierpliwiony i oszukany w oczekiwaniu, porwał się z krzesła trzęsąc ogromnym brzuchem.

– Ja, rzekł płaczliwie, jestem ubogi, bardzo ubogi, ja nie mam złota, czyli złoto nie jest u mnie, albo, nie u mnie złota szukać należy!

Mały siedział i z złośliwym uśmiechem radości wpatrywał się w męczarnie Majstra, który niespokojny o swoje złoto, przybliżał się coraz ku miejscu, w którym jego skarby zostawały, aby ich bronić swoją osobą.

– No! przysiągłeś – rzekł nareście Majster Bartłomiej obracając się ze swego stanowiska do Ruperta – kiedyś jeszcze dzwonił zębami przed bramą, przysiągłeś, mówię, że mię ciągle dręczyć nie będziesz, a teraz niedotrzymujesz słowa.

– Jak to niedotrzymuję? rzekł Rupert, czyż mowa o złocie, tak ci jest nie miła? Ale – dodał, mówmy wyraźniej, mogę do twoich skarbów, przydać tyle, ile ci się podoba, jeśli się podejmiesz być pomocnikiem w pewnej delikatnej sprawie.

– Cóż takiego? ciekawie zapytał Majster.

– Będziesz mi pomagał, przerobić jednego starca, na młodego człowieka.

– A któż to potrafi?

– Ja – rzekł uśmiechając się Rupert.

– Ty? W imię Oycy i Syna – odstępując na kilka kroków zawołał Bartłomiej – człowiecze – co plecisz? czyli co twój język wyrzekł, albo, coś powiedział??

Poglądali oba na siebie – Majster osłupiały z podziwienia, Rupert z ironicznym uśmiechem, który twarz jego, tak obrzydliwą uczynił, że kto inny, mniej do niej przywykły jak Bartłomiej, byłby uciekł za kraj świata, ale Majster wspomniał że Rupert napomknął coś o złocie.

– Hm! rzekł, juściżby to dobrze było zarobić tak wiele złota – ale?

– Ha, ha, ha! piszczącym głosem odezwał się Rupert, podniósł się z krzesła i stając podparłszy się, w boki na przeciw Bartłomieja – Cóż to czy w twojej głowie, ten rodzaj majsterstwa zmieścić się nie może?

– He? co? zapytał Bartłomiej nierozumiejąc poczwary – czy chcesz żebym oszalał, albo żebym był szalony, czyli, żebym odszedł od zmysłów?

– No, Bartłomieuju, jesteś przecie Alchemik, zawołał trochę niecierpliwie Rupert, wytrzeszczywszy na niego oczy jak dwie grobowe pochodnie i zbliżając się z rozdartą gębą, z wyciągnionymi rękoma, jakby go chciał udusić, upiec przy

ogniu swego spójrzenia i połączyć całego – jesteś alchemik – a alchemik jakich mało, równasz się z Panem Bobolą, tym jezuickim szachrajem, który królewskie złoto, przetapia w kufry Lojolistów. Pan Wolski nawet radzi się ciebie niekiedy, idąc na experymenta do Króla Jego Mości – ty więc uczony ośle, (tu P. Bartłomiej splunął niby obrażony, ale że do złota mowa się ściągała więc milczał), no czyż nie wierzysz żeby człowiek mógł przerobić człowieka, kiedy go..... Hę??

– Hę?? zająkając się odpowiedział z małym nawiasowym uśmiechem Bartłomiej, oczekujący ciągle, aby się rozmowa ku pieniądzm nachyliła – ku pieniądzm, które kochał jak samego siebie.

– Jak widzę, rzekł podskakując prawie, mały ognisty Rupert, toś ty albo głupi jak sak, albo mię chcesz do tego przyprowadzić, że się zaklnę na twój bót dziurawy, iż tu noga moja niepostanie – i złota ci niedam.

– No! ale ja słucham, odparł żywo, urażony Bartłomiej kładnąc rękę na piersiach na znak lekkiej urazy, ja słucham, ja rozumiem, przerobię ci co chcesz – nawet ciebie samego, tylko powiedź, gdzie to złoto, o którym była wzmianka.

– O! powoli! rzekł Rupert, musisz wprzód odbyć próbę, musisz zaprzysiądz milczenie, musisz się wyrzec swojej duszy, musisz – o! to jeszcze wiele rzeczy brakuje, do tego – dziś pójdziem odbyć pierwszą próbkę.

– Hę?? odpowiedział Majster – jam gotów – ależ do diabła słyhać już śpiewanie nocnych stróżów – już północ blisko.

– No to i cóż? zapytał Rupert – to właśnie sam czas nadchodzi.

II

– Cyt! cyt!

– Powoli.

– No chodźże.

– Kiedy ciemno jak w lochu.

– I do sto tysięcy.

– A! do milion kaduków!

– No leżże gapiu? wołał nareście Rupert, sprowadzając Majstra ze wschodów – leż – i to mówiąc wziął go za poję, pociągnął, i skacząc jak bocian cieńkimi nóżkami, włókł Bartłomieja, którego brzuch i tusza, tak prędko iść niedozwalały i który przeto wrzeszczał jak szalony.

– A! milczże pieszczochu! krzyczał znowu Rupert, bo przysięgam że ci gębę zamaluję do sądneho dnia. Majster Bartłomiej, zląkł się, bo był tchórz wielki, i włókł się podskakując i wołając tylko z cicha niekiedy – och! ach! aj! oj! – lub pomrukując pod nosem.

Po wielkich korowodach zeszli nareście ze schodów, i pokazali się na ulicy. Księżyc świecił jasno, noc była widna, Rupert spójrzał po niebie i rzekł po cichu do Majstra – Noc bezecna, do naszej roboty – a Majster tymczasem tchórzliwie spoglądał po oknach i w jednym ujrzał siedzącą swoją synownicę. Siedziała ona zadumana, sparta na rękę, i wpatrywała się w księżyc, który jej białą suknię i bielszą jeszcze twarz i

anielskie rysy oświecał, połykała wieczorne tchnienie wiatru, rozwiewające jej czarne włosy i lekko kołyszące jej szaty.

– Idź spać Hersyljo! zawołał Majster – już nie pora po niebie gawronić – spać, spać – połóż się na mojem łóżku – pilnuj, żeby nas nie okradli, zamknij dom na rygle i niepuszczaj nikogo, choćby się Bóg wie jak dobijał.

– Dobrze, dobrze, stryju, ja zamknę, ale dzisiejszej nocy oka zmrużyć się niegodzi, dziś porównanie jesienne dnia z nocą. To noc cudna dla astrologów i kochanków. Dziś w pogodnych gwiazdkach czytać będę, przyszły los mój i mego kochanka. Dobranoc, stryju, dobranoc, idź już, idź. Już cię ten mały Rupert ciągnie dawno za rękaw, dobranoc – niepuszczę nikogo.

– Niepuszczaj! niepuszczaj! wołał oddalając się coraz Majster Bartłomiej, choćby i Tobiasz nawet stukał się do bramy.

– Oho! odezwał się głos z okna – a mała poczwarka pociągnęła silniej Bartłomieja, a Bartłomiej jak szatan poleciał, bo dla złota, gotów był karku nadkręcić. Szli jeszcze ulicą – wszędzie było cicho: księżyc świecił, wszystko spało, tylko w winiarniach odzywały się szumne wykrzykniki podochoconych i migały jarzące światła. Szli dalej kierując się ku przedmieściu. Już mijali klasztor jezuicki Stej Barbary, a Bartłomiej wzdychał poglądając na mury bogatego, oblanego złotem zakonu, kiedy na zakręcie spotkali jakąś dziwotworną figurę, o mur opartą.

Był to męszczyzna chudy i cienki, trzymający pod pachą pudełko. Księżyc oświecił jego rysy – był on w okularach, nos

miał długie, wystające, jasno-granatowe, oczy ogromne jak talary, czarne i ogniste; ale ze wszystkiego najdziwniejsza była chudość. Był to szkielet żyjący, kości wyglądały mu z pod skóry, która wisała na nim, jak worek na kołku.

Ta figura zbliżyła się do Ruperta, a Bartłomiej odskoczył od niej parę kroków, żegnając się skrycie i przyciskając się do towarzysza.

– Ależ się na ciebie wyczekałem! krzyknął dźwięczącym głosem Suchy – a zimno mi dolegało, bo to noc jesienna, a rosa chłodna do stu diabłów.

– O! zawołał Rupert, czego się tak ciśniesz do mnie Bartłomieju i machasz rękoma?

– Opędzam komary – zamruczał pod nosem Majster – spoglądając z podełba na Suchego.

– Przecieżeście przyszli! – zawołał Suchy – Ależ to gruba kłoda toczy się za tobą Rupercie – Pośpieszajmy!

Bartłomiej drżał jak listek i trzymał się towarzysza, jak pijany płotu, gdyby nie nadzieja pieniędzy, uciekłby już dawno.

– Ależ noc szkaradna! rzekł Suchy wpatrując się w pogodne, gwiazdami zasiane niebo.

– Prawda! niegodziwa! dodał Rupert.

Tak pomrukiwając niekiedy szli przez miasto, a im ciemniejszymi cisnęli się zaułkami, tym dalej w pięty kryła się dusza Pana Majstra. Szli dalej, wyszli za miasto, na przedmieście, stanęli w końcu na polu. Było blisko północy, wiatr dał jak z kowalskiego miecha, chmury wlokły się już

powoli jedna za drugą na niebie i księżyc kaprysić zaczynał, to świecił, to gasnął, to, w jedną, to w drugą stronę wyglądał z zachmury. Trzej nasi podróżni doszli nareście do rozstajnej drogi – Księżyc błyskał jeszcze niekiedy – Bartłomiej był blady jak chusta. Nadedrogą stał krzyż, pochylony, stary, który skrzypiał za każdym powiewem wiatru, jak na torturach – czyste było pole w około. Jedna droga, którą przyszli, prowadziła do miasta, druga na lewo do cmentarza, o kilkadziesiąt tylko kroków oddalonego, trzecia do lasu, czwarta na prawo do pustego na wzgórku kościołka. Na cmentarzu kołysała się drzemiąca jodła, podnosząc gałęzie nad mogiłami, jakby ich bronić chciała; w kościołku świszczwał wiatr, przez drzwi i otwarte okna, lasek szumiał z daleka, jakby się gniewał na chmury, że mu księżyc zaćmiły – chmury naciągały na niebo coraz bardziej, a gdy Suchy popatrzył na nie raz czy parę, zupełnie się zrobiło ciemno. Rupert od zimna, chlapał jak pies zębami, a Suchy rozwinął swoją paczkę, wyjął kawał kredy, sznurek, flaszkę, cyrkiel i książkę. Wszyscy milczeli – Suchy stanął koło krzyża, Rupert za nim, Bartłomiej także – Mała poczwarka wzięta od Suchego książkę obróciła się ku zachodowi i zaczęła coś mruczeć – Wiatr dął coraz mocniej, aż Bartłomiej dwóma rękoma trzymać musiał czapkę na uszach, żeby jej nie zerwał. Suchy tymczasem uwiązał kredę do sznurka i zakreslił duży cyrkuł koło krzyża, całą tę przestrzeń zajęta obwodem koła, pokropił potem wodą z flaszki, stuknął nareście krzesiwem o kamień i rospalił wiązkę suchego drzewa, która tam jakby na umyślnie leżała, i buchnęła zaraz

sinim płomieniem, a dym gęsty, poleciał kłębami w górę, potem się rozciągnął po nad głowami siedzących i poszedł z wiatrem dalej.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.